

BERNARD
Cornwell



RYCERZ

SERIA O ŚWIĘTYM GRAALU TOM I



Bernard Cornwell tworzy najlepsze sceny batalistyczne
spośród wszystkich pisarzy, których czytałem.

GEORGE R. R. MARTIN

HI:STORY

SERIA O ŚWIĘTYM GRAALU

TOM I

RYCERZ

BERNARD
Cornwell

RYCERZ

TLUMACZENIE
MARTA MAGDALENA BORKOWSKA

HI:STORY

KRAKÓW 2023

Tytuł oryginału: *Harlequin*

HARLEQUIN © Bernard Cornwell, 2000

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Copyright © for the translation by Marta Magdalena Borkowska

Wydawca prowadzący: Szymon Langowski

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja i korekta: d2d.pl

Łamanie: To znowu ja

Projekt okładki: Katarzyna Borkowska

Ilustracja na okładce: Strabilante / Adobe Stock

Ozdobnik na okładce: Sentavio / Shutterstock

ISBN 978-83-8135-335-9

HI:STORY

www.wydawnictwohistory.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Richarda i Julie Rutherfordów-Moore'ów

...stoczono wiele śmiertelnych bitew, pomordowano ludzi, ograbiono kościoły, wygubiono dusze, skalano młode kobiety i dziewice, zhańbiono stateczne matrony i wdowy; miasta, dwory i domostwa spalono; rabunki, okrucieństwa i zasadzki szerzyły się po gościach. To sprawiło, że zanikła sprawiedliwość. Ginęła wiara chrześcijańska, obumierał handel, a wojny te przyniosły tak wiele innych nieszczęść i okropieństw, że trudno je zliczyć, opowiedzieć i opisać.

Jan II Dobry, król Francji, 1360 rok

Hellequini – prawdopodobnie z języka starofrancuskiego: jeźdźcy diabła.

PROLOG

Skarb z Hookton skradziono w wielkanocny poranek 1342 roku.

Był to święty przedmiot, relikwia, która zwisała ze stropu kościoła. Niebywale, że tak cenną rzecz trzymano w nikomu nieznaney wiosce. Część jej mieszkańców twierdziła, że przechowywanie tam relikwii niczemu nie służy i że powinna ona trafić do jakiejś katedry czy dużego opactwa. Niektórzy wątpili w jej autentyczność. Przecież tylko głupiec negowałby fakt, że relikwie czasem fałszowano. Po bocznych traktach Anglii krążyli rozmaici szachraje, wciskając ludziom pożółkle kości i zapewniając, że są to palce, zęby lub żebra świętych. Czasami szczątki rzeczywiście były ludzkie, jednak znacznie częściej pochodziły ze świń lub jeleni, lud zaś kupował je i modlił się do nich. „Równie dobrze można się modlić do Guineforta, świętego psa – drwił ojciec Ralph. – Modlą się do kości od szynek! Od szynek! Błogosławią prosiaki!”

To właśnie ojciec Ralph był księdzem, który przywiózł świętą rzecz do Hookton i nie chciał słyszeć o przeniesieniu jej do jakiejś katedry lub opactwa. Tak oto od ośmiu lat relikwia wisiała w małym kościółku, gdzie pokrywała się kurzem oraz pajęczynami i mieniała się srebrzystym blaskiem w promieniach słońca wpadających przez strzeliste

okna zachodniej wieży świątyni. Obsiadały ją wróble, a któregoś ranka zauważono nawet, że z jej drzewca zwisały nietoperze. Rzadko opuszczano ją w dół i czyszczono, choć od czasu do czasu ojciec Ralph nakazywał przynieść sobie drabinę – wówczas skarb zdejmowano z łańcuchów i ksiądz modlił się nad nim i głaskał go. Nikomu się nim nie chwalił. Gdyby takie чудо znalazło się w posiadaniu innych kościołów czy klasztorów, zapewne posłużyłoby do ściągnięcia tłumu pielgrzymów, ale ojciec Ralph odprawiał wszystkich z kwitkiem. „To nic takiego – mawiał, gdy ktoś dopytywał się o relikwię. – Taka tam błyskotka, byle co”. Wpadał w gniew, kiedy obcy naciskał. „To nic wielkiego”. Ojciec Ralph odstraszał ludzi samym wyglądem, nawet jak nie był rozsierzdony, lecz w chwilach gniewu przeobrażał się w szalonego fanatyka, który chronił skarb swoją furją. Wierzył, że najlepsze zabezpieczenie zapewnia niewiedza – póki lud nic nie wie o relikwii, Bóg będzie jej strzegł. I tak właśnie było – do czasu.

Prowincjonalność Hookton doskonale chroniła skarb. Wioska leżała na południowym wybrzeżu Anglii, gdzie rwący niczym rzeka strumień o nazwie Lipp przedzierał się przez kamienistą plażę i wpadał do morza. W spokojnym zakolu nazywanym przez miejscowych Hook, za żwirowym wałem Lipp, chroniło się nocami pół tuzina łodzi rybackich. W 1322 roku słynny sztorm sforsował tę barierę i wtargnął do środka, roztrzaskując na kawałki zacumowane tam łodzie. Wioska nigdy nie podniosła się po tej tragedii. Przed sztormem z Hook wypływało dziewiętnaście łodzi, dwadzieścia lat później zaś tylko sześć małych stateczków wychodziło w morze poza zdradziecką barierę rzeki Lipp. Pozostali mieszkańcy zajmowali się pozyskiwaniem soli z wody morskiej

oraz hodowaniem bydła i owiec pasących się na okolicznych wzgórzach. Kryte strzechą chatki przycupnęły dookoła kościółka, z którego poczerniałego drewnianego stropu zwisała relikwia. Takie właśnie było Hookton, wioska łodzi, ryb, soli i trzody, z zielonymi wzgórzami i ignorancją głęboką jak toń pobliskiego morza.

W 1342 roku przed Wielkanocą w Hookton, jak w całym świecie chrześcijańskim, odbywało się całonocne czuwanie. W towarzystwie pięciu wieśniaków ojciec Ralph konsekrował chleb i wino, a potem złożył Przenajświętszy Sakrament na biało nakrytym ołtarzu. Hostie leżały w zwykłej glinianej misie osłoniętej białym płótnem, wino zaś trzymano w srebrnym kielichu, który należał do księdza. Kielich był częścią tajemnicy duchownego. Ojciec Ralph był wysoki, pobożny i zbyt uczony jak na zwykłego wiejskiego klechę. Ludzie gadali, że mógł zostać nawet biskupem, ale we śnie opętał go diabeł, przez co przed przybyciem do wioski spędził kilka lat zamknięty w klasztorze. W 1334 roku demony opuściły jego duszę i wysłano go do Hookton, gdzie budził grozę wśród wieśniaków swoimi kazaniami do mew czy wycieczkami na plażę, podczas których wyznawał Bogu swe grzechy, łkając i kalecząc pierś ostrymi kamieniami. Zdarzało się, że był jak pies, gdy grzechy zbyt mocno ciążyły mu na sumieniu. W tej odległej wiosce znalazł jednak pewne ukojenie. Zbudował duży drewniany dom, który dzielił ze swoją gospożą, a także zaprzyjaźnił się z sir Gilesem Marriottenem, panem Hookton mieszkającym jakieś pięć kilometrów na północ, we dworze z kamienia.

Sir Giles rzecz jasna był dżentelmenem, był nim też ojciec Ralph mimo swoich potarganych włosów i gniewnego głosu. Duchowny kolekcjonował książki, które przekazał kościołowi

w Hookton. Były one w wiosce czymś niebywałym. Czasami, gdy zostawiał otwarte drzwi, przechodnie mogli dojrzeć na stole stertę siedemnastu ksiąg oprawionych w skórę. Większość z nich napisano po łacinie, resztę po francusku, w ojczystym języku ojca Ralpha. Nie był to jednak francuski, jakim posługiwano się we Francji, ale francuszczyzna Normanów, język władców Anglii. Wieśniacy podejrzewali zatem, że ksiądz jest szlachetnie urodzony, lecz nikt nie śmiał zapytać go o to wprost – zbyt się go obawiali. A on robił to, co do niego należało: chrzcił dzieci, wygłaszał kazania, udzielał ślubów, spowiadał, rozgrzeszał, strofował i towarzyszył ludziom w ich ostatniej drodze, ale nigdy nie spędzał z nimi wolnego czasu. Spacerował samotnie, z opętańczym uśmiechem, z rozwianymi włosami i rozognionym wzrokiem, lecz wieśniacy i tak byli z niego dumni. Wiele kościołów miało tłustych, niedouczonego klechów, wykształconych niewiele lepiej niż ich parafianie. Hookton miało ojca Ralpha – prawdziwego uczonego, zbyt wykształconego, aby bratać się z plebem, może i szlachcica, prawdopodobnie też świętego lub po prostu głęboko skruszonego grzesznika, a najpewniej szaleńca, lecz bez wątplenia kapłana z krwi i kości.

Ojciec Ralph kontynuował odprawianie liturgii. Potem przypomniał pięciu mężczyznom wytypowanym na strażników, że Lucyfer tej nocy niczego bardziej nie pragnie niż porwania Przenajświętszego Sakramentu z ołtarza. Dlatego muszą pilnie strzec chleba i wina. Po wyjściu duchownego mężczyźni przez kilka chwil pokornie klęczeli, wpatrując się w zdobienia na srebrnym kielichu przedstawiające herb szlachecki z mityczną bestią, yale'em, trzymającą Graala. Dla mieszkańców wioski był to dowód na to, że ich ksiądz jest człowiekiem wysoko urodzonym, który stracił swoją pozycję,

gdyż opętał go diabeł. Kielich pobłyskiwał w świetle dwóch niezwykle wysokich świec – miały się palić przez całą noc. Mieszkańcy Hookton nie mogli sobie pozwolić na takie zbytki, ale ojciec Ralph każdego roku kupował dwie świece od zakonników z Shaftesbury. Jednak tej nocy tylko tych pięciu mężczyzn patrzyło w ich niezłomne płomienie.

Nagle John, rybak, pierdnął.

– Zdaje mi się, że to było na tyle trujące, że utrzyma starego diabła z daleka – powiedział, a pozostała czwórka się roześmiała.

Zeszli ze stopni prezbiterium i usiedli, opierając się plecami o ścianę nawy. Żona Johna przyniosła kosz z chlebem, serem i wędzonymi rybami, a Edward, który miał solnisko na plaży, wyjął butlę ale*.

W większych kościołach to rycerze pełnili tę coroczną straż. Klęczeli w pełnych zbrojach, w płaszczach ozdobionych prężącymi się lwami, jastrzębiami w locie, toporami lub orłami o rozpostartych skrzydłach. Ich hełmy zdobiły pierzaste grzebienie. Jednak w Hookton nie było rycerzy i tylko Thomas, najmłodszy z obecnych, posiadał broń – stary lekko zardzewiały tępy miecz.

– Myślisz, że ten wiekowy szmelc przestraszy diabła, Thomasie? – spytał John.

– Ojciec kazał mi go przynieść – odpowiedział chłopak.

– Na co mu stary miecz?

– Przecież wiesz, że on niczego nie wyrzuca – odparł Thomas, ważąc broń w dłoni.

Miecz był dość ciężki, ale chłopak unosił go z łatwością: miał osiemnaście lat i nieprzeciętną siłę. Bardzo go w Hookton

* Ale – gatunek ciemnobrązowego lub jasnobrązowego piwa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

lubiano. Był synem najbogatszego człowieka w wiosce, a mimo to ciężko pracował. Uwielbiał dni spędzane na morzu i wciąganie sieci rybackich pokrwawionymi szorstkimi rękami. Umiał sterować łodzią, wiosłować, gdy ustawał wiatr, umiejętnie zastawiał pułapki na zwierzęta, strzelał z łuku, kopał groby, kastrował cielaki, kładł strzechy lub przez cały dzień pomagał przy sianokosach. Był zwykłym krzepkim chłopakiem ze wsi, lecz Bóg dał mu ojca, który przeznaczył go do wyższych celów. Chciał, żeby syn został księdzem i dlatego Thomas ukończył niedawno pierwszy semestr nauki w Oxfordzie.

– Co robisz w Oxfordzie, Thomasie? – spytał Edward.

– Wszystko to, czego nie powinienem – odparł młodzieniec.

Odgarnął czarne włosy z twarzy tak samo kościstej jak twarz ojca. Miał błękitne oczy o lekko opadających powiekach, podłużną szczękę i miły uśmiech. Dziewczęta w wiosce uważały go za przystojnego.

– Czy macie w Oxfordzie dziewczyny? – zapytał chytrze John.

– Nawet więcej niż trzeba – odpowiedział chłopak.

– Nie mów o tym ojcu, inaczej złoł ci skórę – rzekł Edward. – To dobry człowiek, ale ma ciężką rękę.

– Najlepszy – zgodził się Thomas.

– Chce dla ciebie jak najlepiej – rzekł John. – Nie możesz mieć o to do niego żalu.

A jednak Thomas miał żal do swojego ojca – od zawsze. Spierali się od lat i nic nie dzieliło ich tak bardzo jak zamówienie chłopaka do łuku. Jego dziadek po kądzieli był łucznikiem w Weald, Thomas mieszkał z nim aż do dziesiątego roku życia. Później ojciec zabrał go do Hookton, gdzie spotkał łowczego sir Gilesa Marriotta, kolejnego dobrego łuczника, który został jego nauczycielem. W wieku jedenastu

lat chłopiec zrobił swój pierwszy łuk z drewna wiązu, ale ojciec niestety znalazł go i złamał na kolanie, a potem złazł potężnie Thomasa kawalkami broni, wykrzykując: „Nie jesteś byle młokosem z plebsu!”. Jednak ani słowa, ani razy nie robiły na Thomasie wrażenia, a ponieważ ojciec był zwykle zajęty własnymi sprawami, syn miał dużo czasu na rozwijanie swojej pasji.

W wieku piętnastu lat był równie dobrym łucznikiem jak jego dziadek i instynktownie czuł, w jaki sposób ukształtować cisowy pręt, by od wewnątrz dominowało twarde drewno rdzenia, a od przodu sprężysty biel znajdujący się tuż pod korą. Gdy łuk był naciągnięty, rdzeń próbował się wyprostować i wtedy biel działał jak mięsień, który umożliwiał łączysku powrót do pierwotnej pozycji. Thomas szybko docenił prostotę i elegancję tej broni. Dobry łuk był gładki i silny jak płaski brzuch dziewczęcia. I tej przedświątecznej nocy, siedząc w kościele w Hookton, Thomas znów pomyślał o Jane, dziewczynie służącej w tutejszej gospodzie.

John, Edward i dwaj pozostali mężczyźni rozmawiali o zwykłych sprawach z życia wioski: o cenie jagniąt na targu w Dorchester, starym lisie, który na wzgórzach nad rzeką w jedną noc załatwił stado gęsi, oraz o aniele widzianym ponad dachami Lyme.

- Sądzę, że za dużo wtedy wypili – zauważył Edward.
- Jak piję, to zawsze widzę anioły – dodał John.
- Jane wygląda jak prawdziwy anioł – powiedział Edward.
- Nie jest takim znów aniołkiem – wtrącił John. – Jest brzemienna.

Wszyscy zerknęli na Thomasa, który wbił niewinne spojrzenie w relikwień zwisającą z krokwi. Tak naprawdę był

przerażony, że dziecko rzeczywiście może być jego, i martwił się, co powie ojciec, gdy to wyjdzie na jaw. Lecz tej nocy postanowił udawać, że o niczym nie wie. Wpatrywał się w relikwię wystającą zza suszącej się sieci, a pozostała czwórka stopniowo zasypiała. Płomienie świec zadrżały w zimnym podmuchu wiatru, gdzieś we wsi zaszczekał pies. Thomas mógł bez końca słuchać, jak fale głucho uderzają o kamienisty brzeg, cofają się, a potem uderzają ponownie. Łowił uchem chrapanie czterech mężczyzn i modlił się, aby ojciec nie dowiedział się o Jane, choć wydawało mu się to mało prawdopodobne, gdyż naciskała na ślub i chłopak nie wiedział już, co robić. Może powinien uciec, zabierając ze sobą dziewczynę i łuk? Nie miał pewności, więc po prostu wpatrywał się w relikwię, modląc się o jakąś wskazówkę.

Relikwią była włócznia. Naprawdę wielka, z drzewcem grubym jak męskie przedramię i długim jak dwóch ludzi. Prawdopodobnie wykonano je z jesionu, ale drewno było tak stare, że nikt nie potrafił tego stwierdzić. Czas wygiął ten poczerniały trzon zakończony zwężającym się szpiczastym ostrzem, które zrobiono nie z żelaza czy stali, ale ze zmatowiałego srebra. Drzewce nie miało wypukłości chroniącej dłoń, lecz było gładkie jak przerośnięty kij do poganiania wołów, ale żaden wieśniak nie umieściłby na takim kiju srebrnego sztychu. To z pewnością była broń, włócznia.

Jednak nie jakaś pierwsza lepsza stara włócznia, tylko ta sama, którą święty Jerzy zabił smoka. Pochodziła z Anglii – Jerzy jest przecież świętym Anglików. Tak ogromny skarb wisiał pod dachem kościoła w takiej dziurze jak Hookton. Wielu twierdziło, że to nie jest broń świętego Jerzego, ale Thomas ich nie słuchał. Lubiał wyobrażać sobie tumany kurzu

wzlatujące spod końskich kopyt i zięjącego piekielnym ogniem smoka oraz bohaterskiego jeźdźca, który wykonuje zamach włócznią. Helm świętego otaczały promienie słońca, jasne jak skrzydła anioła. Wyobrażał sobie ryczącego smoka, wywijającego ogonem pokrytym haczykowatymi ostrzami, i konia, który rży z przerażenia. I widział w myślach, jak święty prostuje się w strzemionach, by przez pancerne łuski zadać potworowi cios prosto w serce. Pisano, że w tamtej chwili ryk smoka dało się słyszeć w samych niebiosach i zwierz, krwawiąc, zdechł. Kiedy pył opadł, a smocza posoka wsiąkła w piasek pustyni, święty Jerzy wyciągnął z cielska bestii włócznię, która ostatecznie trafiła do rąk ojca Ralpha. Tylko jakim sposobem? Kapłan milczał na ten temat. A teraz broń wisiała tam, wielka, czarna i na tyle potężna, by przeszyć smoczy pancerz na wskroś.

Zatem tej nocy Thomas modlił się do świętego Jerzego, Jane zaś, czarnowłosa piękność, spała na zapleczu gospody, a jej zaokrąglony brzuch krył w sobie nienarodzone dziecko. Ojciec Ralph szlochał przez sen ze strachu przed otaczającymi go w ciemności demonami, na pobliskim wzgórzu krzyczały lisice, a morskie fale wyszarpywały i połykały żwir na plaży. Taka właśnie była noc przed Wielkanocą.

Thomasa obudziło pianie kogutów i spostrzegł, że kosztowne świece wypaliły się niemal do końca. Szare światło wpadało przez okno nad białym ołtarzem. Kiedyś ojciec Ralph obiecał mieszkańcom, że umieści w kamiennej ramie kolorowe witraże ukazujące walkę świętego Jerzego ze smakiem. Niestety do dzisiaj w oknie były jedynie rogowe szybki, które nadawały sączącemu się przez nie światłu barwę uryny.

Thomas wstał, by opróżnić pęcherz, i wtedy usłyszał pierwsze przeraźliwe krzyki dobiegające ze wsi.

Nadeszła Wielkanoc, Chrystus zmartwychwstał, a na brzegu wylądowali Francuzi.

Najeźdźcy nadpłynęli na czterech łodziach z Normandii, niesieni nocnym zachodnim wiatrem. Przewodził im sir Guillaume d'Evèque, *sieur d'Evèque*, doświadczony wojownik, który walczył z Anglikami we Flandrii i Gaskonii, a także dwa razy poprowadził wyprawy na południowe wybrzeża Anglii, skąd przywiózł mnóstwo wełny, srebra, żywego inwentarza i kobiet. Żył na Wyspie Świętego Jana, niedaleko Caen, w pięknym kamiennym domu, i zyskał sławę jako rycerz morza i lądu. Miał około trzydziestu lat, szerokie bary, ogorzałą twarz i zmierzwiłone jasne włosy. Był pogodnym, niezbyt skorym do refleksji człowiekiem, który dzielił swój czas między pirackie grabieże na morzu a sprawowanie rycerskiego rzemiosła na lądzie. A teraz przybył do Hookton.

Co prawda było to miejsce bez znaczenia, w którym trudno spodziewać się jakiegokolwiek zdobyczy, ale na tę wyprawę sir Guillaume'a wynajęto i nie musiał się niczym martwić – nawet jeśli nie znajdzie w wieśniaczych chatach ani jednej monety, wciąż mógł liczyć na tysiąc liwrow za poprowadzenie ekspedycji. Podpisany i opieczętowany kontrakt zapewniał mu tę zapłatę plus wszystko, co zdoła zrabować w wiosce. Pierwsze sto liwrow już wypłacono, reszta znajdowała się w depozycie u brata Martina z opactwa Abbaye aux Hommes w Caen. Żeby otrzymać pozostałe dziewięćset, miał przypłynąć do Hookton i splądrować wszystko z wyjątkiem kościoła, który miał pozostawić człowiekowi tak szczerze opłacającemu kontrakt. Człowiek ów stał w pierwszej łodzi obok sir Guillaume'a.

Był młodym wysokim mężczyzną, przed trzydziestką, czarnowłosym, rzadko się odzywał i jeszcze rzadziej uśmiechał. Na kosztowną kolczugę sięgającą aż do kolan narzucił czarny płaszcz bez żadnego herbu. Sir Guillaume zgadywał jednak, że był szlachetnie urodzony, na co wskazywały jego arogancja i pewność siebie. Na pewno nie był normandzkim szlachcicem, sir Guillaume znał tych ludzi, wątpliwe też było, by pochodził z Alençon lub Maine, gdzie rycerz bywał dosyć często. Kolor skóry młodzieńca wskazywał raczej na tereny Morza Śródziemnego, może Langwedocję lub Delfinat, gdzie wszyscy są wściekli jak psy. Sir Guillaume nawet nie znał jego imienia.

– Niektórzy zwą mnie Harlequinem – odpowiedział, gdy sir Guillaume go o to zapytał.

– Harlequinem? – powtórzył imię rycerz i uczynił znak krzyża, bo brzmiało niczym klątwa. – Chciałeś powiedzieć hellequinem?

– Hellequini są we Francji – odparł człowiek. – W Italii nazywa się ich harlequinami. To zresztą bez znaczenia.

I uśmiechnął się tak, że sir Guillaume powstrzymał się od dalszego dociekania.

Mężczyzna zwący siebie Harlequinem wpatrywał się w brzeg przysłonięty mgłą, z której powoli wylaniały się przysadzista kościelna wieża, rzędy dachów i smugi dymu z ognisk panwi solnych.

– Czy to jest Hookton? – spytał.

– On tak twierdzi – odrzekł sir Guillaume, wskazując głową sternika.

– Niech Bóg ma ich w swojej opiece – rzekł mężczyzna.

Dobyl miecza, chociaż do brzegu było jeszcze kilkaset metrów. Genuieńscy kusznicy, wynajęci na tę wyprawę,

przeżegnali się i naciągnęli ciężwy kusz, a sir Guillaume nakazał wywiesić na maszcie swój sztandar. Na niebieskiej fladze widniały trzy żółte jastrzębie z rozpostartymi skrzydłami i pazurami gotowymi pochwycić zdobycz. Rycerz czuł już zapach dymu, słyszał piejące koguty.

Ptaki nadal piały, gdy dzioby jego czterech statków zaczęły o żwirowy ląd.

Sir Guillaume i Harlequin wyszli na brzeg jako pierwsi, tuż za nimi ruszyli Genuieńczycy, zawodowi żołnierze, którzy dobrze znali swój fach. Ich dowódca skierował oddział wprost przez wieś, by odciąć znajdującą się za nią dolinę, którą wieśniacy mogli próbować uciekać z dobytkiem. Pozostali ludzie sir Guillaume'a ruszyli grabić domostwa, marynarze zostali zaś przy łodziach.

Ta noc była długa, chłodna i niespokojna, ale teraz nadchodziła nagroda. Czterdziestu zbrojnych najechało Hookton. Mieli stalowe hełmy i kolczugi narzucone na skórzane tuniki. Uzbrojeni w topory, miecze i włócznie ruszyli, aby rabować. Dla większości ludzi sir Guillaume'a nie była to pierwsza grabież i świetnie wiedzieli, co mają robić. Kopniakami rozwalić słabe drzwi chałup i zabić mężczyzn. Kobiety niech krzyczą, najważniejsze, żeby zabić mężczyzn, nim podejmą walkę. Niektóre z nich uciekną, nie szkodzi, zatrzymają je genuieńscy kusznicy, którzy obstawili wszystkie drogi. Po wybiciu mężczyzn można zacząć rabunek. Niestety wieśniacy mieli trochę czasu na ukrycie cennych rzeczy, dlatego trzeba zerwać strzechy z dachów i podłogi oraz sprawdzić studnie. Jednak większość dobytku pozostaje na wierzchu. Są szynki przeznaczone na pierwszy posiłek po Wielkim Poście, wieszaki pełne suszonych i wędzonych ryb, sterty sieci, dobre garnki, kądziel i wrzeciona, oselki masła, jajka,

worki soli – dobytek dosyć skromny, ale warty zabrania do Normandii. W niektórych domach odkryto niewielkie ilości srebrnych monet, w jednym, należącym do księdza, natrafiono na skarb – srebrną tacę, świeczniki i dzban. Znalezione tam też kilka beli wełnianej tkaniny, rzeźbione łoże oraz przyzwoitego konia w stajni. Sir Guillaume zerknął na siedemnaście ksiąg, ale uznał je za bezwartościowe i wyłamawszy ze skórzanych okładek zamki z brązu, zostawił woluminy, by spłonęły wraz z domostwem.

Musiał zabić gospozię księdza. Nie był, co prawda, przeczułony na punkcie zabijania kobiet, ale ich śmierć nie przynosiła chwały i sir Guillaume odradzał taki rodzaj mordu. No chyba że kobieta próbowała walczyć, jak było w przypadku gospo- si, która zaatakowała żołnierzy różnem i wyzywała ich od sukinsynów i diablích pomiotów. Nie chciała pogodzić się ze swoim losem, więc w końcu mężczyzna ciął ją mieczem.

– Głupia suka – zaklął, przechodząc nad jej ciałem. Dwie ładne szynki wędziły się w kominie. – Zdejmijcie je – rozka- zał żołnierzom, pozostawił im przeszukanie domu i udał się w stronę kościoła.

Ojca Ralpa zbudziły krzyki parafian, szybko założył więc sutannę i pobiegł do świątyni. Wpierw ludzie sir Guillaume’a z szacunku zostawili go w spokoju, lecz zaczął się z nimi szarpać. Wtedy nadszedł Harlequin i nakazał wojakom poj- mać księdza. Ci chwycili go za ręce i unieruchomili przed ustrojonym na biało ołtarzem.

Harlequin wyciągnął miecz i pokłonił się kapłanowi.

– Książę, panie mój.

Ojciec Ralph zamknął oczy, być może modląc się, chociaż wyglądało to bardziej na irytację. Następnie otworzył je po- nownie i spojrzał na przystojną twarz Harlequina.

– Jesteś synem mojego brata – stwierdził głosem pełnym żalu.

– W istocie.

– Jak się ma twój ojciec?

– Nie żyje, podobnie jak twój – odpowiedział Harlequin.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie – rzekł kapłan poważnie.

– A kiedy ty, starcze, będziesz martwy, ja zostanę księciem i nasza rodzina się odrodzi.

Uśmiechnąwszy się półgębkiem, ojciec Ralph potrząsnął głową i zerknął w górę na włócznie.

– Żle robisz – rzekł. – Jej moc jest przeznaczona dla prawych ludzi. Nie będzie służyć takiemu plugawemu złu jak ty.

W tym momencie kapłan wydał dziwny, jęklivy okrzyk i spojrzał w dół, na swój brzuch przebity mieczem bratanka. Próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał, nogi ugięły się pod nim. Zbrojni uwolnili go, a on upadł obok ołtarza. Na jego sutannie rosła plama krwi.

Harlequin wytarł miecz w poplamiony winem obrus ołtarza i rozkazał jednemu z ludzi sir Guillaume’a znaleźć drabinę.

– Drabinę? – spytał zdziwiony żołnierz.

– Przecież kryją dachy strzechą, muszą mieć drabiny. Znajdź jakąś. – Harlequin schował miecz i utkwiał wzrok we włócznie świętego Jerzego.

– Rzuciłem na nią klątwę – wyszeptał niewyraźnie ojciec Ralph.

Twarz miał trupio bladą, umierał, ale jego głos brzmiał niezwykle spokojnie.

– Twoja klątwa martwi mnie tak, jak pierdnięcie tawernianej dziewczki. – Harlequin rzucił świeczniki w kierunku żołnierzy, a następnie wygarnął hostie z glinianej misy i wpakował

je sobie do ust. Podniósł misę do góry, uznał, że jest bez wartości, i odstavil ją z powrotem. – Gdzie wino? – spytał ojca Ralpa.

Ten pokręcił głową.

– *Calix meus inebrians* – odrzekł.

Harlequin wybuchnął śmiechem. Duchowny zamknął oczy, ból ścisnął mu trzewia.

– Mój Boże – westchnął.

Harlequin pochylił się nad wujem.

– Boli?

– Pali niczym ogień – odparł ojciec Ralph.

– Spłoniesz w piekle, mój panie – odrzekł Harlequin. Wzdając, że ksiądz zaciska dłonie na brzuchu, próbując powstrzymać krwawienie, oderwał ręce kapłana od rany i potężnie kopnął leżącego w żołądek. Ojciec Ralph stracił oddech i zwinął się z bólu. – Pozdrowienia od rodziny – syknął Harlequin i odwrócił się, bo do środka właśnie wnoszono drabinę.

Wieś wypełniały wrzaski, większość kobiet i dzieci żyła, lecz ich gehenna dopiero się rozpoczęła. Wszystkie młodsze kobiety zostały zgwałcone, a te ładniejsze, w tym Jane, zabierano do łodzi, aby wywieźć je do Normandii, gdzie miały zostać kurtyzanami lub żonami zbrojnych sir Guillaume’a. Jedna z kobiet przeraźliwie krzyczała, bo jej dziecko zostało w płonącym domu, ale żołnierz nie rozumiał, o co jej chodzi, i uciszył ją uderzeniem, a potem pchnął w ręce marynarzy. Ci przewrócili ją na kamienie i zadarli jej spódnice, ona zaś łkała żałośnie, patrząc na swój stojący w ogniu dom. Gęsi, świnię, kozy, sześć krów i rumaka kapłana prowadzono w kierunku łodzi. Mewy krążyły nad wioską, głośno kwiląc.

Słońce ledwie się pokazało ponad wzgórzami na wschodzie, a wioska już dała sir Guillaume’owi więcej, niż oczekiwał.

– Może wejdziemy trochę dalej w głąb lądu? – zasugerował kapitan Genuieńczyków.

– Mamy już to, po co przyszliliśmy – odparł Harlequin.

Ułożył nieporęczną włócznię na cmentarnej trawie i wpa-
trywał się w wiekową broń, jakby chcąc zgłębić jej moc.

– Co to jest? – zapytał genuieński kusznik.

– Nic, co mogłoby ci się przydać.

Sir Guillaume uśmiechnął się szeroko.

– Przy pierwszym ciosie rozpadnie się na kawałki –
stwierdził.

Harlequin skrzywił się. Znalazł to, czego chciał, i opinię
sir Guillaume’a miał w głębokim poważaniu.

– Chodźmy dalej – powtórzył kapitan kuszników.

– Tylko parę kilometrów – dopowiedział sir Guillaume. Wie-
dział, że przerażający angielscy łucznicy w końcu pojawiają
się w Hookton, ale raczej nie przed południem, i był ciekaw,
czy w pobliżu jest jeszcze jakaś wieś warta rabunku. Spoglądał
na przerażoną dziewczynkę, może jedenastoletnią, którą
jakiś żołnierz ciągnął do łodzi. – Ilu zabitych? – spytał.

– Naszych? – Kapitan Genuieńczyków wydawał się zasko-
czony pytaniem. – Zero.

– Nie naszych, ich.

– Trzydziestu, czterdziestu ludzi. Kilka kobiet.

– A nas nawet nie drasnęli! – Sir Guillaume triumfował. –
Aż żal na tym skończyć!

Spojrzał na swojego pracodawcę, ale człowiek w czerni
nie zwracał na niego uwagi, a kapitan Genuieńczyków tylko
coś bąknął. Sir Guillaume był zaskoczony, gdyż spodziewał
się po nim głośnego nakłaniania do dalszego rabunku. Jed-
nak jęk kusznika nie wynikał z braku entuzjazmu – w jego
piersi tkwiła strzała z białymi piórami. Rozerwała kolczugę,

przeszła przez kaftan jak szpilka przez podszewkę i zabiła mężczyznę na miejscu.

Sir Guillaume rzucił się na ziemię, a chwilę później w trawę obok niego wbiła się kolejna strzała. Harlequin chwycił włócznię i pobiegł w stronę plaży, podczas gdy rycerz pełził na czworakach w kierunku kościelnego przedsionka.

– Kuszniczy! – nawoływał. – Kuszniczy!

Ktoś tu jednak walczył.

Thomas słyszał krzyki i tak jak pozostała czwórka rzucił się do drzwi kościoła, aby zobaczyć, co się dzieje. Jeszcze nie dotarli do przedsionka, a już widzieli uzbrojonych ludzi w kolczugach i ciemnoszarych hełmach, którzy w bladym porannym świetle zbliżali się do cmentarza.

Edward zatrzasnął drzwi kościoła, zablokował je belką i zrobił znak krzyża.

– Słodki Jezu! – wykrzyknął, odskakując, gdy we wrota zaczęły uderzać siekiery. – Daj mi to! – rzekł, odbierając Thomasowi miecz.

Chłopak pozwolił mu wziąć broń. Drzwi kościoła trzęsły się pod uderzeniami dwóch lub trzech toporów walących w stare drewno. Wieśniacy sądzili do tej pory, że ich wioska jest za mała, aby ją najeżdżano. Ale dziś na oczach Thomasa rozłupywano drzwi świątyni i chłopak wiedział, że napastnikami są Francuzi. Opowieści o takich napadach krążyły po całym wybrzeżu i choć ludzie modlili się do Boga, by zachował ich wioskę, wrogowie już tu byli, a w kościele dudniło echo ich toporów.

Thomas był przerażony, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiedział tylko, że musi uciec z kościoła. Podbiegł do ołtarza, a wspinając się na niego w pośpiechu, zmiażdżył nogą

srebrny kielich i strącił jego resztki na posadzkę. Następnie wdrapał się na parapet wielkiego wschodniego okna i wybił żółte płytki, których fragmenty spadły na kościelny podwórzec. Obok karczmy przebiegali mężczyźni w czerwonych i zielonych kurtkach, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy przeskakiwał przez okno. Pobiegł do rowu i rwąc na sobie ubranie, przedarł się przez kolczasty żywopłot po drugiej stronie. Thomas przebiegł ścieżkę i przeskoczył przez parkan ogrodu ojca. Podbiegł do drzwi kuchennych i zaczął w nie walić pięściami, jednak nikt nie odpowiadał. W tym momencie w belkę nad drzwiami wbił się bełt z kuszy, zaledwie parę centymetrów od głowy chłopaka. Skulił się gwałtownie i chyłkiem pomknął przez pole fasoli w kierunku stajni, gdzie jego ojciec trzymał konia. Nie było czasu na ratowanie zwierzęcia, więc Thomas wlaźł do sąsiedka, gdzie ukrył w sianie swój łuk i strzały. Niedaleko od stajni krzyczała jakaś kobieta, psy przeraźliwie wyły. Francuzi wrzeszczeli, wyważając drzwi kolejnej chałupy. Młodzieniec chwycił łuk i kolczan ze strzałami, rozerwał strzechę pomiędzy krokwiami, przecisnął się przez otwór i wskoczył do sadu sąsiada.

Pędził, jakby diabeł deptał mu po piętach. Pocisk z kuszy głucho wbił się w murawę obok, gdy biegł w stronę wzgórza Lipp. Gonilo go dwóch genueskich kuszników, ale Thomas był młody, wysoki, silny i szybki. Przebiegł przez pastwisko usiane pierwiosnkami i stokrotkami, przeskoczył przez płot zamykający dziurę w żywopłocie i skręcił ku grzbietowi wzgórza. Dotarł do skraju lasu i rzucił się na ziemię, aby złapać oddech po długim biegu. Leżał na łące wypełnionej zapachem dzwoneczków. Nasłuchiwał, czy ktoś się zbliża, ale poza odgłosami owiec z pastwiska niczego nie słyszał. Kusznicy zrezygnowali z pościgu.

Leżał tak przez dłuższy czas, aż w końcu postanowił wrócić na szczyt pagórka, skąd obserwował starą kobietę biegnącą z dziećmi ku sąsiedniemu wzgórzu. Musieli jakoś ominąć zbrojnych i teraz uciekali na północ, by donieść sir Gilesowi o tragedii, ale Thomas do nich nie dołączył. Zszedł w dół wzgórza, w kierunku kępy leszczyn, skąd mógł patrzeć, jak jego wioska dogorywa.

Najeźdźcy przenosili zrabowany dobytek do czterech łodzi zakotwiczonych na kamienistej plaży. Pierwsza strzecha właśnie zapłonęła. Dwa zabite psy leżały na drodze obok nagiej kobiety, a kilku Francuzów unosiło właśnie swoje kolczugi, żeby się z nią zabawić. Chłopak przypomniał sobie, że całkiem niedawno brała ślub z rybakiem, którego pierwsza żona zmarła na gorączkę połogową. Dziewczyna była wówczas taka skromna i szczęśliwa, a teraz jeden z Francuzów kopnął ją w głowę i pochylił się nad nią ze śmiechem. Dostrzegł też Jane – dziewczynę, która prawdopodobnie nosiła w łonie jego dziecko – ciągniętą w kierunku łodzi i ze wstydem przyznał, że czuje ulgę na myśl o tym, że już nie będzie musiał tłumaczyć się ojcu. Coraz więcej chat płonęło, w miarę jak Francuzi obrzucali je pochodniami. Chłopak zerkał na gęstniejący dym, biegnąc przez leszczynowe zarośla do miejsca, gdzie kwitnący glóg tworzył białą gęstwinę. Ukrył się w niej i napiął łuk.

Był to najlepszy łuk, jaki kiedykolwiek zrobił. Wystrugany z drewna pochodzącego z rozbitego statku, którego fragmenty morze wyrzuciło na brzeg. Fale zostawiły na plaży dwanaście podobnych belek, a łowczy sir Marriotta stwierdził, że musi to być włoski cis, najładniejsze drewno, jakie widział w życiu. Thomas sprzedał jedenaście twarдых belek w Dorchester, a jedną, najlepszą, zatrzymał dla siebie. Żłobił ją i parzył jej końce aż do uzyskania lekkiego

wygięcia w kierunku przeciwnym do układu włókien drewna. Potem pokrył łuk farbą zrobioną z sadzy i oleju lnianego. Gotował miksturę w kuchni matki w dniach, gdy ojciec był poza domem, więc nie dowiedział się, co robi jego syn, choć niekiedy uskarżał się na smród dochodzący z kuchni. Matka Thomasa twierdziła wtedy, że to fetor jej trucizny na szczury. Łuk musiał być pomalowany, aby drewno nie wysychało, w przeciwnym razie stawało się kruche i pękało przy naciąganiu cięciwy. Farba po wyschnięciu przybrała kolor głębokiego złota, tak jak laki wytwarzane przez dziadka Thomasa w Weald. Chłopak chciał jednak uzyskać jeszcze ciemniejszą barwę, dalej wcierał więc sadzę w drewno, aż stało się tak ciemne jak drzewce włóczni świętego Jerzego. Na końcu łuku założył rogowe nakładki z zaczepami na pętelki cięciwy, a samą cięciwę zrobił ze splecionych włókien konopnych nasączonych klejem wytwarzanym z kopyt. Następnie miejsce zakładania strzały na cięciwę wzmocnił dodatkowym opłotem z włókien. Ukradł ojcu parę monet i kupił w Dorchester groty do strzał, ich promienie zrobił z jesionu, a lotki z gęsich piór. W ten wielkanocny poranek miał w torbie dwadzieścia trzy strzały.

Thomas naciągnął łuk, sięgnął po białopiórą strzałę i popatrzył na trzech ludzi stojących przy kościele. Byli dosyć daleko, lecz czarny łuk był najlepszą bronią, jaką kiedykolwiek zrobił, i w jego wnętrzu drzemała straszliwa moc. Jeden ze zbrojnych miał zwykłą kolczugę, drugi czarny płaszcz, z kolei trzeci ubrany był w zielono-czerwoną kurtkę. Thomas uznał, że ten najbardziej krzykliwie ubrany jest przywódca i w związku z tym musi umrzeć.

Jego lewa ręka zadrżała, kiedy naciągał cięciwę. Zaszło mu w gardle, bał się. Wiedział, że doskonale strzela, więc

obniżył ramię i zmniejszył naciąg cięciwy. Pamiętaj, mówił do siebie, czego się nauczyłeś. Łucznik nie celuje, on zabija. Sekret tkwi w głowie, ramionach i w pewnym oku, nie ma żadnej różnicy między zabijaniem ludzi a strzelaniem do łani. Naciągnąć i puścić cięciwę, to wszystko, ćwiczył to od dziesięciu lat i ruch ten był dla niego tak naturalny jak oddychanie i tak płynny jak nurt wody w strumieniu. Patrz i strzelaj, nie myśl. Naciągnij cięciwę i niech Bóg prowadzi strzałę.

Nad wioską gęstniał dym, a Thomas czuł niezmierny gniew, który przeradzał się w wisielczy humor. Lewą rękę wysunął lekko do przodu, prawą zaś zupełnie wyprostował, nie spuszczaając z oczu zielono-czerwonej kurtki. Naciągał cięciwę, a gdy znalazła się tuż obok jego prawego ucha, zwolnił ją.

Pierwszy raz Thomas z Hookton celował do człowieka i gdy tylko posłał strzałę, wiedział, że był to dobry strzał, a łuk nawet nie zadrżał. Pocisk pomknął parabolą ze wzgórza w dół i wbił się głęboko w kolorową kurtkę. Thomas wystrzelił drugą strzałę i człowiek w kolczudze padł na ziemię, ale zaraz wstał i rzucił się do przedsionka kościoła. Trzeci z mężczyzn chwycił włócznię i uciekł w stronę morskiego brzegu, rozplywając się w dymie.

Thomasowi pozostało dwadzieścia jeden strzał. Trzy na cześć Trójcy Świętej, pomyślał, a pozostałe na każdy rok jego życia, które teraz było w niebezpieczeństwie, bo w kierunku wzgórza biegło już ze dwunastu kuszników. Oddał kolejny strzał i zanurkował w leszczynę. Nagle poczuł radość, wypełniło go poczucie mocy i satysfakcji. Gdy pierwsza strzała wzbila się w niebo, wiedział już, że nie chce od życia niczego więcej. Był łucznikiem. Do diabła z Oxfordem, gdyż Thomas odkrył, co naprawdę się dla niego liczy. Biegnąc w górę wzgórza, niemal krzyczał z radości. Bełty z kusz rozrywały

leszczynowe liście wokół niego z głębokim, prawie dudniącym odgłosem. Dotarł do szczytu wzgórza i pobiegł kilka metrów na zachód, lecz postanowił na moment zawrócić, by wystrzelić kolejną strzałę, po czym znów puścił się biegiem.

Thomas tańczył z napastnikami taniec śmierci – ze wzgórza do żywopłotu, na ścieżkach, które znał od dzieciństwa – a oni jak głupcy podążali za nim, gdyż duma nie pozwalała im przyznać się do porażki. A naprawdę przegrali – dwóch z nich padło trupem, zanim rozległa się z brzegu trąbka przywołująca ich do łodzi. Przed odwrotem Genuieńczycy zatrzymali się tylko na chwilę nad ciałem zabitego kompana, aby zabrać jego broń i odzienie. Wtedy łucznik powalił jeszcze jednego z nich, a reszta natychmiast rzuciła się biegiem w stronę łodzi.

Chłopak ruszył za nimi w kierunku płonącej wsi. Minął karczmę, która zmieniła się w piekło, i skierował się ku łodziom. Najeźdźcy spychali je właśnie do wody za pomocą długich wiosel. Holowali za sobą trzy najlepsze wiejskie łódki, pozostałe podpalili. Wieś też stała w ogniu, z dachów strzelały w niebo dym, iskry i płonące kawałki drewna. Thomas posłał jeszcze jedną strzałę w kierunku uciekających zbrojnych, lecz chybił i wpadła do morza, następnie młodzieniec zawrócił i poprzez płonącą, cuchnącą dymem wioskę ruszył do kościoła – jedynej nietkniętej przez napastników budowli. Czterech kompanów, z którymi czuwał w nocy, znalazł tam martwych, natomiast ojciec Ralph nadal żył. Siedział oparty plecami o ołtarz. Spód jego sutanny był ciemnoczerwony od świeżej krwi, pociągłą twarz miał nienaturalnie bladą.

Thomas uklęknął przy nim.

– Ojczy?

Ojciec Ralph otworzył oczy i jego wzrok padł na łuk. Skrzywił się, ale Thomas nie wiedział, czy był to wyraz bólu, czy może dezaprobaty.

– Zabiłeś któregoś z nich? – spytał kapłan.

– Tak – odpowiedział Thomas. – Wielu.

Ojciec Ralph ponownie skrzywił się i zadrżał. Thomas pomyślał, że ksiądz jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego zna, może niedoskonałym, lecz silnym jak cisowy stempel, ale teraz umierał i w jego głosie dźwięczał smutek.

– Nie chcesz być księdzem, Thomasie, prawda? – spytał mężczyzna po francusku, w języku matki chłopaka.

– Nie – odparł on w tym samym języku.

– Zostaniesz żołnierzem – powiedział duchowny – jak twój dziadek. – Ojciec Ralph przerwał na chwilę i jęknął, gdy następny atak bólu przeszył jego trzewia. Thomas chciał mu pomóc, ale tak naprawdę nic już nie można było zrobić. Harlequin wbił swój miecz głęboko i tylko Bóg mógł ocalić kapłana. – Pokłóciłem się z moim ojcem i on mnie wydziedziczył – odezwał się umierający. – Pozbawił mnie spadku, a ja nigdy mu tego nie wybaczyłem. Jesteś do niego podobny, bardzo podobny. Zawsze się ze mną kłóciłeś.

– Tak, ojczy – potwierdził chłopak.

Ujął rękę księdza, a ten nie zaprotestował.

– Kochałem twoją matkę – wyszeptał ojciec Ralph. – To był grzech, a ty jesteś jego owocem. Myślałem, że zostaniesz księdzem i wzniesiesz się ponad ten grzech. To nas zalewa, Thomasie. Jest wszędzie. Widziałem diabła, widziałem go na własne oczy. Musimy z nim walczyć. Tylko Kościół może z nim wygrać. Tylko i wyłącznie.

Po jego nieogolonych zapadniętych policzkach spłynęły łzy. Spojrzał gdzieś ponad chłopakiem, na sufit nawy głównej.

– Ukradli włócznie – szepnął smutno.

– Wiem.

– Mój prapradziadek przywiózł ją z Ziemi Świętej – rzekł ojciec Ralph. – Ja ukradłem ją mojemu ojcu, a dzisiaj mój bratanek ukradł ją mnie. Wykorzysta ją do czynienia zła. Thomasie, sprowadź ją z powrotem do domu. Odzyskaj ją.

– Obiecuję – odrzekł chłopak.

Dym w kościele zaczął gęstnieć. Najeźdźcy wprawdzie nie podpalili świątyni, ale strzecha kościoła zajęła się od unoszących się w powietrzu płonących szczątków.

– Powiedziałeś, że włócznie zabrał twój bratanek? – dopytywał się Thomas.

– Twój kuzyn – wyszeptał ksiądz, przymykając oczy – ten ubrany na czarno. Przyszedł tu i ją ukradł.

– Kim on jest?

– Złem – jęknął ojciec Ralph, potrząsając głową.

– Kim on jest? – nalegał dalej chłopak.

– *Calix meus inebrians* – wypowiedział kapłan głosem przechodzącym w łkanie.

Thomas znalazł ten fragment psalmu, oznaczał on: „Mój kielich jest przeobfity”*. Zdał sobie sprawę, że umysł jego ojca gaśnie, a dusza ucieka z umierającego ciała.

– Powiedz mi, kim był twój ojciec! – domagał się chłopak.

Powiedz mi, kim ja jestem, chciał spytać. Powiedz, kim ty jesteś, ojcze. Ale oczy ojca Ralpha pozostawały zamknięte, choć nadal mocno ścisnął rękę syna.

– Ojcze? – zapytał błagalnie Thomas.

* Ps 23, 5. Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.

Dym wypełnił nawę, ale wydostawał się na zewnątrz oknem wyłamanym przez chłopaka podczas ucieczki.

– Ojcie?

Lecz jego ojciec już nic więcej nie powiedział – umarł, a Thomas, który spierał się z nim przez całe życie, zapłakał jak dziecko. Bywało, że nieraz wstydził się za ojca, ale teraz, w tę zadymioną i krwawą Wielkanoc, przekonał się, jak bardzo go kocha. Większość kapłanów wypiera się swoich dzieci, ksiądz Ralph jednak nigdy nie ukrywał, że ma syna. Niewiele go obchodziło, co świat o tym myśli, i otwarcie przyznawał, że jest nie tylko duchownym, lecz także zwykłym mężczyzną. I nawet jeżeli zgrzeszył miłością do swej gospodyni, to był to słodki grzech. Nie zaprzeczał temu nawet w aktach skruchy, chociaż obawiał się, że po śmierci może za to odpokutować.

Thomas odciągnął ciało ojca od ołtarza. Nie chciał, aby spłonęło, gdy zapadnie się dach świątyni. Srebrny kielich zniszczony podczas ucieczki oknem leżał pod przesiąkniętą krwią sutanną kapłana. Thomas schował przedmiot za pazuchę i wyciągnął zwłoki na przykościelny cmentarz. Ułożył ojca obok ciała człowieka w zielono-czerwonej kurtce i przykucnął, łkając. Zawiódł podczas swojego pierwszego wielkanocnego czuwania. Diabeł skradł Przenajświętszy Sakrament i włócznie świętego Jerzego, a Hookton umarło.

Koło południa przybył sir Giles Marriott z oddziałem uzbrojonym w łuki i sierpaki. Sir Giles miał na sobie kolczugę, a w ręku miecz, ale nie było z kim walczyć – Thomas był jedynym ocalałym w wiosce.

– Trzy żółte jastrzębie na niebieskim tle – powiedział sir Gilesowi.

– Thomasie? – spytał zmieszany sir Giles.

Był panem na włościach i już starym człowiekiem, który wiele lat walczył przeciwko Szkotom i Francuzom. Był też przyjacielem ojca Ralpha, ale nie rozumiał pobudek jego syna, zdaniem Gilesa wyrósł on na dzikusa.

– Trzy żółte jastrzębie na niebieskim tle – powtórzył Thomas mściwie – to herb człowieka, który to zrobił.

Czy to był herb jego kuzyna? Nie wiedział. Ojciec zostawił go z wieloma znakami zapytania.

– Nie wiem, czyj to emblemat, ale będę się modlił, aby zapłacił za tę zbrodnię w piekle – odparł sir Giles.

Dopóki szalał ogień, niewiele można było zrobić. Gdy wygasł, zaczęto wydobywać ciała z popiołów. Spaleni byli szarzy i groteskowo pokurczeni, tak że nawet wysoki człowiek miał rozmiary dziecka. Zwłoki wieśniaków przeniesiono na cmentarz w celu odprawienia pochówku, ale trupy czterech kuszników zawleczono na plażę i tam obdarto z ubrań.

– To ty ich zabiłeś? – spytał sir Giles.

– Tak, panie.

– Dziękuję ci.

– Moi pierwsi Francuzi – rzucił gniewnie chłopak.

– Nie – odparł sir Giles, podnosząc tunikę jednego z zabitych, aby pokazać zielony kielich wyhaftowany na rękawie. – Oni są z Genui. Francuzi wynajmują ich jako kuszników. W swoim czasie kilku zabiłem, ale sporo ich jeszcze tam zostało. Czy wiesz, co to za symbol?

– Jakiś puchar?

Sir Giles pokręcił głową.

– To Święty Graal. Oni twierdzą, że mają go w swojej katedrze. Ponoć jest to przywieziony z wypraw krzyżowych wspinały zielony kielich wyrzeźbiony w szmaragdzie. Chciałbym go kiedyś zobaczyć.

– Więc ci go przyniosę – rzucił Thomas zaciekle – razem z naszą włóczęgą.

Sir Giles zapatrzył się na morze. Łodzie grabieżców dawno zniknęły, na horyzoncie widniały tylko słońce i fale.

– Po co tu przybyli?

– Po włóczęgę – odrzekł Thomas.

– Wątpię – odparł rycerz. – Raczej nawet nie była prawdziwa. Ot, zwykły kawałek drewna.

– Jest prawdziwa – upierał się Thomas – i przybyli tu właśnie po nią.

Sir Giles nie miał ochoty ciągnąć tej dyskusji. Zamiast tego zagadnął chłopaka.

– Twój ojciec chciałby, żebyś skończył studia.

– Koniec ze studiami – odparł obojętnie Thomas. – Udam się do Francji.

Sir Giles skinął głową. Zawsze uważał, że chłopak bardziej nadaje się na żołnierza niż na księdza.

– Pójdiesz na łucznika? – spytał, patrząc na wielki łuk na ramieniu chłopaka. – A może dołączysz do mnie, aby poćwiczyć i zaciągnąć się później jako zbrojny? Wiesz, że jesteś szlachetnie urodzony? – rzekł z uśmiechem.

– Jestem bękartem.

– Twój ojciec był z wysokiego rodu.

– Znałeś moją rodzinę?

– Twój ojciec nigdy nie mówił na ten temat. Gdy naciskałem, odpowiadał, że jego ojcem jest Bóg, a matką Kościół. – Sir Giles wzruszył ramionami.

– A moja matka – odparł Thomas – była gospodynią księdza i córką łucznika. Dlatego pojedę do Francji jako łucznik.

– Bycie zbrojnym jest szlachetniejsze – zauważył sir Giles.

Thomasowi nie zależało jednak na szacunku. Pragnął zemsty.

Sir Giles pozwolił mu wybrać z ekwipunku zabitych wrogów, co tylko chciał, więc chłopak wziął kolczugę, parę długich butów, nóż, miecz, pas i hełm. Były to rzeczy używane, ale w całkiem niezłym stanie, poza kolczugą, którą przebiła strzała. Sir Giles powiedział, że był winien ojcu Ralphowi pieniądze – co mogło, lecz nie musiało być prawdą – i wypłacił je Thomasowi, dorzucając w prezencie czteroletniego wałacha.

– Będziesz potrzebował konia, dziś łucznicy służą konno. Jedź do Dorchester i znajdź kogoś rekrutującego łuczników – doradził młodzieńcowi.

Trupom Genuieńczyków odcięto głowy, które nabito na pale ustawione na żwirowym brzegu morza, ich ciała zaś pozostawiono, aby zgniły. Mewy wydziobały im oczy, a potem oczyściły je z mięsa, tak że pozostały tylko nagie czaszki z pustymi oczodołami tępo gapiącymi się w morze.

Ale Thomas już tego nie widział. Wziął swój czarny łuk i ruszył za morze, żeby wziąć udział w wojnie.